

Ignacy Radlicki

Z pamiętnika : (fragment większej całości)

Palestra 6/7(55), 57-59

1962

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

IGNACY RADLICKI

Z pamiętnika

(Fragment większej całości)

Władze niemieckie zawiesiły działalność sądów polskich.

Pozbawiona warsztatu pracy adwokatura stołeczna, w stosunku do zaborcy jednolita, choć wewnątrz rozbita na ideowe grupy i grupki kolegów, prowadziła „długie rodaków rozmowy” o przyszłości świata i Polski. Stan podniecenia umysłów potęgował się w miarę napływu do stolicy kolegów, zarówno tych wyrzuconych ze swych siedzib na zachodzie Polski — z Katowic, Poznania, Pomorza — jak i tych, którzy z przeczności opuszczali swe siedziby w innych miastach Kongresówki.

Przyjeżdżali często na nieznanym, obcy sobie teren. Byli wstrzeźliwi w wypowiedziach, ale często bezradni i potrzebujący pomocy. Toteż pierwszym obowiązkiem warszawskich gospodarzy było przyjście im z pomocą.

W lokalu Rady Adwokackiej w Warszawie przy Al. Jerozolimskich Nr 11 zorganizowano więc dla kolegów i ich rodzin stołówkę. Tam w zimowe miesiące mogli ogrzać się w pokoju, posilić ciepłą strawą, spotkać się z kolegami, podzielić najświeższymi wiadomościami, ba — z braku dzienników — przeczytać w bibliotece stare czasopisma czy dzieła naukowe.

Stołówka Rady Adwokackiej stała się z czasem centralą informacyjną wiadomości politycznych i frontowych. Bezszelestnie z ręki do ręki zaczęły krążyć pisane na maszynie komunikaty radiowe, ulotki i pisemka. W skromnych pokojach Rady szumiało jak w ulu. Towarzystwo było sobie znane, solidne, zdyscyplinowane. Oceniano zdarzenia, wypadki, ludzi.

Bolało nas, że znalazł się taki adw. Janowski, który jawnie paradował z Niemcami, że Prymak podejmował się prowadzenia z Niemcami podejrzanych transakcji. Przyrzekaliśmy pomścić się na Wendorffie, ledwie co wyklutym adwokacie, który okazał się jawnym agentem niemieckim, w czasie bowiem oblężenia Warszawy wykryto w jego mieszkaniu stację nadawczą.

Trzeba jednak stwierdzić, że poza tymi trzema adwokatami cała pozostała reszta kolegów — a przecież w Warszawie było nas przeszło 2 000 — zachowała godność i powagę.

Ja niezbyt często zaglądałem do stołówki, chyba tylko na umówione spotkanie. Na takie umówione *rendes-vous* przybyłem właśnie w maju 1940 roku. Jak codziennie, długie ławy wokół stołów zajęte były przez

kolegów. Grupki innych, stojąc rozmawiały po salach. Siedziałem przy stole, gdy wtem drzwi korytarzowe otworzyły się i do sali wszedł ... Janowski.

Udałem zajętego rozmową, aby mnie „nie zaszczylił” przywitaniem. Janowski pewnym krokiem podszedł do grupki kolegów stojących na sali i wyciągnął rękę na przywitanie. Jak w szopce kukiełek wszyscy koledzy stojący w grupie odwrócili się do niego tyłem. Janowski spłoszował. Zwrócił się do trzech innych kolegów, lecz i oni nie wyciągnęli ręki. Spojrzał po sali, zawahał się, cofnął i wyszedł. Wszystko to trwało sekundy.

Łobuz i zdrajca, nie długo kazał czekać na swą zemstę. W dwa dni później oddziały Gestapo dokonały rewizji, aresztując szereg kolegów.

Mimochodem zauważę, że zdrajca Janowski, który zresztą i indywidualnie miał paru kolegów adwokatów na sumieniu, niedługo cieszył się życiem w nowym gestapowskim towarzystwie. Jak wpadł w to towarzystwo, nie da się ustalić. Natomiast wiadomy jest jego podły, ale zasłużony koniec. Interweniując w sprawach osób aresztowanych przez Gestapo, kazał sobie płacić słone honoraria, nie zachowując w ich pobieraniu ostrożności. Do jednej z matek, która żądała od niego zwrotu honorarium, odezwał się „A cóż pani myśli, że mnie Gestapo nie kosztuje?” Matka, której Gestapo zwolniło syna przed interwencją Janowskiego, poskarżyła się Niemcom. Gestapowcy nie znosili, aby ktoś obcy na nich zarabiał. Aresztowali więc i rozstrzelali Janowskiego.

Ale wróćmy do głównej sprawy.

Aresztowanie kolegów było pierwszym bolesnym, terrorystycznym uderzeniem niemieckim w polską advokaturę. Tym boleśniejszym, że niewielu z aresztowanych pozostało przy życiu.

Po uruchomieniu sądów polskich władze niemieckie postanowiły reaktywować i advokaturę.

Dziękaniem komisarycznym Rady Adwokackiej został mianowany adw. Wendorff. Do wykonywania licznych funkcji Izby Wendorff zaprosił kolegów z Okręgowej i Naczelnej Rady Adwokackiej, tworząc z nich ciało doradcze.

Głównym jednak zadaniem Wendorffa było usunięcie kolegów Żydów z advokatury. Sprawa ta dla Niemców była w tym czasie delikatnej natury. Jeszcze Stany Zjednoczone Ameryki zachowywały neutralność, jeszcze Hitler zabiegał o ich względy. Chodziło o to, aby usunięcia kolegów Żydów dokonali sami Polacy, lecz koledzy adwokaci pod przewodnictwem nieodżałowanej pamięci zmarłego Leona Nowodworskiego wykazali wielki hart ducha. Na żądanie wykluczenia kolegów Żydów odpowiedzieli, powołując się na konwencję haską, że zmiany strukturalne w organizacjach społecznych w czasie wojny nie są przewidywane i że uchwał w sprawie wykluczenia kolegów Żydów nie podejmą.

Głosujący koledzy: Leon Nowodworski, Jerzy Czerwiński, Ludwik Domański, Jan Gadomski i inni pozbawieni zostali prawa wykonywania praktyki adwokackiej. Pozbawienie świętych prawników i godnych obywateli prawa do wykonywania praktyki — było to drugie z kolei, acz już nie tak bolesne jak pierwsze uderzenie w advokaturę.

Aresztowanie 57 adwokatów w dniu 12 lipca 1940 r. było trzecim bolesnym uderzeniem w adwokaturę polską.

Siedziałem w gabinecie za biurkiem i czytałem gazetę, gdy w korytarzu rozległ się ostry ton dzwonka. Gdy otworzono drzwi, wkroczył do mego gabinetu, nie pytając o pozwolenie, mundurowiec i cywil.

„Pan jest aresztowany” — oświadczył po polsku mundurowiec. Po krótkim posiłku, który z trudem łykałem, uściskałem na pożegnanie siostrę i wyszliśmy. Na ulicy mundurowiec pozwolił mi kupić w budce papierosy. Auto stało po drugiej stronie ulicy. Pod strażą umundurowanego szofera, zastałem już w aucie kolegów adwokatów Mariana Lewandowskiego i Stanisława Krzywoszewskiego.

Auto szybko mknęło wzdłuż Kopernika, Krakowskiego Przedmieścia i Bielańskiej. Nie miałem pojęcia, dokąd nas wiezie, a rozmawiać nam zabroniono.

Auto zatrzymało się przed żelazną bramą Pawiaską. Znałem tę bramę, gdyż niejednokrotnie przychodziłem tu za zezwoleniem prokuratora na widzenie z aresztowanymi, których miałem bronić.

Skrzypnęły ciężkie zawiasy. W biurze więziennym spisano personalia. Rewizji osobistej nie robiono. Strażnik więzienny odprowadził nas na Oddział VI na trzecim piętrze.

W celi, której nas zamknięto, byli już adwokaci: Apolinary Kostro, Wacław Bereźnicki, Michał Orzęcki, Jerzy Bielawski, Tadeusz Kizler, Zbigniew Krasuski i Aleksander Jarzęcki.

Przywitałem się serdecznie z kolegami. Nie wszystkich bliżej znałem.

Cela była mała. Łóżka żelazne, podnoszone na ścianę. Jeden stolik, dwa taborety drewniane i dużych rozmiarów „kibel” stanowiły całe umeblowanie. Z braku krzeseł oddziałowy zezwolił nam siedzieć na opuszczonych łóżkach. Ciasno i gwarno tu było.

Dowiedziałem się, że w sąsiednich celach oraz w tak zwanej „szkole” siedzą również adwokaci, dzisiejszej bowiem nocy aresztowano kilkudziesięciu kolegów adwokatów, o czym nie wiedziałem, nie będąc w tym dniu w sądzie. Za co — nikt nie umiał powiedzieć.

Koło godz. 18 podano nam kolację, po czym nastąpił krótki apel. Stanęliśmy w dwu szeregach. Oddziałowy odliczył obecnych. Zgrzytnął klucz w zamku. Nastąpił trudny problem ułożenia się do snu. Ponieważ łóżek było mniej niż nas, przy czym łóżka były jednoosobowe, wziętynie, postanowiliśmy spać wszyscy na podłodze. Rozłożyliśmy sienniki i na nich ułożyliśmy skołatane przeżyciami głowy. Toteż rychło odezwały się ciężkie oddechy i chrapanie.